



ED. GRABOWIECKI.

Kartka ze wspomnień.

—o—

W pamiętny dzień 5 sierpnia 1915 roku wracałem z komisarjatu straży obywatelskiej po całodziennym dyżurze.

Wieczór był księżycowy, więc choć wszystkie lampy w mieście pogaszone, na ulicach było dość widno. Zresztą i luna pożarów na Pradze dodawała jasności.

Odgłosy strzałów i luna tworzyły pewien nastrój niepokojący.

Był to pierwszy dzień strzelaniny między Niemcami, a Moskalami, którzy posiadali jeszcze Pragę. Karabiny grzechotały dość gęsto. Od czasu do czasu terkotały maszynki. Zrzadka szrapnel zagwizdał i pękł z hukiem.

Warszawa zdenerwowana ostatnimi wypadkami nie mogła usiedzieć w domu, żadna wieść, a może ciekawa brudasów niemieckich, dość że tłumnie wyległa na miasto. Jedynie ulice ku Wiśle biegnące zagrożone przez kule wyludniły się zupełnie.

A właśnie tam zdążałem, mieszkałem bowiem nad samą Wisłą.

Na przekór nastrojom tu, w śródmieściu, czułem się swobodny i radosny. Wracałem po pracy zmudnej, bezładnej jeszcze i gorączkowej, ale że roboty miałem wiele, poczułem się nagle potrzebnym kółkiem w tej nowej organizacji, na której nieprzygotowane barki nagle spadł wielki ciężar zapewnienia spokoju i bezpieczeństwa ukochanemu miastu. Z tego przeświadczenia zapewne rodziła się moja radość. Nie analizowałem swoich uczuć, dość mi było, że na duszy czułem się lekki i swobodny.

Nagle zauważyłem, że ludzie, spostrzegłszy trójkolorową opaskę przodownika na moim rękawie, usuwali mi się z drogi i patrzyli z pewnym poszanowaniem. To mile polaskotało moją dumę. Krok mój stał się elastyczniejszy, postać moja żołniersko się wyprostowała, a stało się to wszystko wcześniej, nim zdałem sobie sprawę z własnego przeobrażenia. Kiedy sobie to uświadomiłem, coś jakby zawstydzenie skrepiło moje ruchy, a poszanowanie dla mojej osoby z tytułu zewnętrznej odznaki władzy, stało się nagłym bodźcem do pewnej, że tak się wyrażę, polityki w zachowaniu się na ulicy. To już czyniłem z całą świadomością. Rozumowałem w ten sposób: stróż bezpieczeństwa i spokoju publicznego, to opiekun współobywateli, skromny, usuwający się z drogi, aby ta właśnie była wolniejsza dla ruchu innych, baczny na wszystko, sam możliwie, najmniej widoczny, aby tem skuteczniej nieść pomoc jej potrzebującym. Od tej chwili skromność moja stała się przesadna.

I tuż uświadomiłem sobie z przerażającą jasnością, że właściwej miary dla swego postępowania nie znajduję, że jestem, jak dojrzewający młodzieniec, który gwałtem tłumi w sobie resztki chłopięcego rozwłóczenia, a w żaden sposób nie może jeszcze osiąść męskiej, statecznej pewności siebie. Uogólniłem to samoosądzenie i nabrałem przekonania, że taka jest cała nasza organizacja tworząca... Co?... Czułem to podświadomie, że dokonywa się jakieś wielkie przeobrażenie w układzie stosunku Polski do świata. Siłłem się to zdefiniować, nazwać. Nowy... Ład?... Nie! Ład świata ustali się gdzieindziej, nas tylko podniesie do znaczenia jednego z trybów nowego układu stosunków. Jako jedno z kółek mechanizmu?... Więc równych z równymi? Wolnych z wolnymi? Czyż? Tuż, tuż pod powierzchnią świadomości wyczuwałem to proste, przejawne pojęcie i ani weź nie mogłem odczytać jego pierwszej sylaby... Cóż u licha! Co? Czy to wolność?... Może... Może ona właśnie... A więc czy ta nowa organizacja jest zaczątkiem... Czego?... Dech mi zamarł w piersiach: czego?... Nie wiem, nie wiem! Ale wiem jedno, że przemoc spycha mniejszą siłą, że te moce kolejno ustępują sobie. Jedno, co wieczne, to prawda narodu, jego niezmienné prawo do wolności...

Szedłem, kierując się automatycznie ku domowi.

Druhu przodownika, tu kule zabijają.

Ocknąłem się: — Co?

— Zabroniono mi puszczać kogokolwiek na Karową.

— Mieszkam na Leszczyńskiej.

— Idźcie Tamką, może tam bezpiecznie.

— Czy naprawdę Karową iść tak niebezpiecznie?

— Przed chwilą kula zabiła tu kobietę, a druha, który ją podnosił śmiertelnie raniła. O, kula.

Świst przeciągły zagwizdał mi koło ucha.

— Druga! Cofnijcie się druha.

Zrobiło mi się nieswojo. Przezornie ukryty za węglem, rozmyślałem w niepewności, jak się do domu dostanę.

Nagle ścichły strzały.

— Nogi za pas, druha, biegnijcie!

Poczułem nieuchwytny skurcz serca. Czy to strach?

— Ruszajcież! przerwy w strzelaniu są bardzo krótkie.

Lotem strzały przebiegłem na drugi róg ulicy. Tuż za mną posypały się kule.

Doszedłem do rogu Aleksandrii.

W czasie drogi, jakoś nie wiązały mi się myśli. Czepiałem się krótkimi pomyśleniami zupełnie przypadkowych zjawisk. Odczytywałem, Bóg wie po co, jakieś napisy na szybach, to znowu na szyldach. Znagła zauważyłem, że kostki jezdni tworzą dziwaczne arabeski, w których gwałtem chciałem się dopatrzyć geometrycznej symetrii. Nagle stanąłem. Dlaczego? Aha! to już róg Aleksandrii. Teraz będę szedł ulicami, które biegną ku Wiśle... wszystkie... Iść będę pod kule... Aleksandria w części zwrócona jest ukosem do linii strzału... Tak, w tej części nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo. Dalej zastania ją mur zwalonego domu. Niebezpieczeństwo grozi zatem w czasie, kiedy będę mijał otwory po zburzonych oknach... Ileż ich?... sześć i drzwi siódme... Muszę się przeczołgać pod otworami. Czołgać!... Zawstydzilem się sam siebie. Poszedłem.

Nagle świst zbiczował powietrze i tuż nad moją głową, rozległ się huk. Równocześnie w liściach akacji przy szpitaliku dziecięcym zaszumiał grad kul... Gdzieś dyszkantem zabręczała rozbita szyba...

Chciałem się czołgać pod oknami, kiedy z góry kula szrapnelowa da w łeb i mózg przewierci?... Czołgać się!

Zaśmiałem się w głos, ale dziwnie nieswoim śmiechem.

Spostrzegłem ze zdziwieniem, że stoję.

Obejrzałem się wokół: ulica była pusta. Ruszyłem naprzód.

Miałem przed sobą lunę i dymy pożaru nad Pragę i rumowiska zwanego domu świecące oczodołami wydartych okien. Oczodołami... Czuję skłonność do operowania okropnościami przenosi.

Terkot maszynowych karabinów tu był silniejszy i nieznośnie monotony. Suchy trzask pojedynczych wystrzałów zwiększył teraz także swoje napięcie.

Sztafaż całkiem wojenny.

Obraz widziany nagle wystylizował mi się w jakąś, kiedyś widzianą akwarelę batalistyczną. Taka właśnie luna, takie rumowiska, dom oświecony pożogą i żuaw w czerwonej bermycy, w czerwonych pantalonach z karabinem w rękach, kroczący bojowo.

Zaczynam iść krokiem żuawa.

Mijam niebezpieczne okna. Już jestem na Tamce.

Drepczy mnie to, że żadną miarą nie mogę sobie przypomnieć, gdzie ja widziałem akwarelkę z żuawem.

Idę teraz ulicą Topiel. Tu jest już bezpiecznie. Jest zupełnie ciemno, tylko na rogu Leszczyńskiej, dokąd właśnie zmierzam, smuga światła. To z apteki. Tak, naturalnie, z apteki.

Na ulicy rojno. Ludęk gwarzy w grupach. Mówią wszyscy naraz, trudno jest cośkolwiek zrozumieć. Zresztą nic mnie to nie obchodzi, co oni mówią. Ja idę na Leszczyńską, nad samą Wisłę. A Leszczyńska prostopadle zmierza do rzeki, i całkowicie otwarta jest na kulę moskiewską. Do diabła! czego ja tak śpieszę?

Idę ciągle bojowym krokiem żuawa, jak do szturm. I nie mogę się powstrzymać, tak muszę iść, tak właśnie.

Nagle przechodzi mi przez głowę; ciekawy jestem co będzie za pięć minut?

Dla wszystkiego, co się wówczas stanie, ta chwila, o ta, co mija, będzie niepowrotną przeszłością. I ja jutro — jeżeli jeszcze będę szedł tędy — (skąd ta wątpliwość?) — będę inny jak w tej chwili. Takim, jakim jestem w tej chwili, już nie będę nigdy. Śmieszne!

Ale zaśmiać się jakoś nie mogłem.

— Nie puszczę pani, tam teraz iść nie można!

Spojrzałem. Stoję w świetle, które pada z otwartych drzwi apteki. Przedemną druha posterunkowy powstrzymuje jakąś babinę, która gwałtem mu się wyrwa w stronę Leszczyńskiej.

— Nie można tam, babciu: kule padają — nie wiem czemu się wmieszałem.

— Muszę! — upierała się.

— Pewna śmierć.

— Śmierć, pan powiada?... Tam córka zamrze bez lekarstwa, które dla niej kupiłam. Słyszysz pan, córka zamrze!

— Nie puszczę! — zagrmiał posterunkowy.

— Matki do chorego dziecka?! — babine opromieniła nagle taka królewskość macierzyństwa, że posterunkowy stracił swoją pewność.

— Nie można — upierał się raczej, niż zakazywał.

— Pójdźmy — rzekłem.

— Co?

— Stańcie za mną.

— Mówiłeś pan, kule biją — nagle się strwożyła.

— Dlatego mówię, stańcie za mną.

— Ledwie się clapię, mam nogi niemocne.

— To wolniutko pójdziemy... Proszę mnie wziąć za patkę.

— Druhu, nie można...

— Ja służbowo — skłamałem.

Ruszyliśmy. W wąskiej szyi ulicy ciemność panowała zupełna. Daleka luna nad Pragę do reszty ciemniła mi oczy.

— Czy to kula tak świsnęła? — szepnęła za mną babina.

— Kula — odpowiedziałem odrętwiałym głosem.

Mimowolnie przyspieszyłem kroku.

Znowu świst, matowe uderzenie o mur i grudka wapna upadła mi pod nogi.

— Oj, niedobrze mi — szepnęła kopiecina za mną.

— Idźmy wolniej.

Zaczeliśmy iść krok za krokiem.

— Znowu kula! — jęknęła.

Szarpnąłem się do zwawszego kroku, ale kobieta całą siłą zwiła na moich plecach. Poczułem, że straciłem swobodę ruchu, możliwość biegu, ukrycia się, uskoczenia, że ta stara kobieta pozbawiła mnie wszelkiej przedsiębiorczości, wszelkiego odruchu, jaki podkrytuje mi instynkt samozachowawczy i ogarnął mnie strach.

Strach. Nie usiłuję zgłębić tego uczucia.

Zapewniam tylko, że było mi ckliwo i nieznośnie, a zimny pot oblał mnie, jak wodą.

— Nie mogę dalej, coś mi nogi pęta — jęczała znowu babina — Oh, jak te kule świszczą...

— Myście o córce. — I nagle, na zasadzie jakichś dziwnych skojarzeń myślowych przyszła mi na pamięć scena z umierającą matką z Ibseńskiego Peer Gyta.

— Tak, myście o córce... Jak to pięknie było, kiedy małym dzieciątkiem wybiegła na łąkę — prawda? — rwała kwiatuszki i wianki wila...

— Nigdyśmy na wsi nie byli...

— To nic! — Anim się spostrzegł, że deklamuję dla siebie, z fałszywą śpiewną emfazą: — A nad kwiatami roje pszczołek pracowitych... W niebie skowronek dzwoni... Nad rzeką ścielą się opary białe...

— Tu już mój dom! — zawołała radośnie i pusiła moje palto.

Poczułem swobodę; jednym susem, szybciej jak myśl, jak błyskawica rzuciłem się naprzód. Świsnęły kule. Przywarłem do ściany plecami i jak wąż prześliznąłem się do domu, w którym mieszkałem.